TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

Vol. 2 Nr. 28 (80) Nowy Jork, 9 lipca — New York, 21, N. Y., July 9th, 1944 Cena 15 ct.



Żołnierz Drugiego Korpusu czytał nawet w schronach pierwszej linji pod Monte Cassino.

JANUSZ LASKOWSKI

PIERWSZY PATROL

(OD KORESPONDENTA MORSKIEGO "TYGODNIKA POLSKIEGO")

Na pokładzie O. R. P. Błyskawica"
Dnia 12 czerwca 1944 roku.

Dziś wyjdziemy w morze. Będzie to dla mnie pierwszy patrol, — pierwszy dzień właściwej pracy korespondenta morskiego. No i pierwsze przełamanie trudności, spiętrzonych dokoła mnie od szeregu miesięcy i obracających się stale przeciw wszelkim zamierzeniom.

Miały być Włochy i II Korpus; — nie dojechałem. Miał być udział w inwazji, jako korespondenta morskiego; — było zapóźno.

A potem? — potem gonitwa wszelkiemi możliwemi sposobami do wszelkich portów tutejszych, aby wreszcie zaokrętować się. Trwało to kilka dni, podczas których stale mijałem się z korespondentami wojennymi, wracającymi z Normandji na kilka godzin. Patrzyłem na nich z zazdrością.

Teraz patrzę już inaczej. Jestem zaokrętowany na O. R. P. "Błyskawica". Oznacza to, że objąłem swój stały przydział: korespondenta w Marynarce Wojennej.

Ale i tym razem los spłatał mi figla. Na "Błyskawicę" przybyłem w 18 godzin po jednej z najciekawszych bitew morskich tej wojny. Rzecz działa się na Kanale Angielskim, dokąd wyszły sojusznicze kontrtorpedowce, a wród nich "Błyskawica" i "Piorun". W nocy z 8go na 9ty czerwca, tuż przy brzegach Francji flotylla sojusznicza spotkała 4 kontrtorpedowce nieprzyjacielskie, chyłkiem przelizgujące się do Kanału. Zamiar Niemców był oczywisty: atak na transporty inwazyjne, idące nieustannie z Anglji do Normandji.

I tak się zaczęło.

Sojusznicy podzielili się na dwa dywizjony, aby utrzymać Niemców w potrzasku. Rezultat: dwa kontrtorpedowce niemieckie zatopione, jeden zaś ciężko uszkodzony. Jest to 75% możliwości.

Kiedym się okrętował na "Błyskawicę", na noku powiewał polski sztandar. Jest to zadośćuczynienie tradycji brytyjskiej marynarki, w polskiej zaś — wypadek ten jest pierwszym. Tradycja każe, aby okręt wchodzący do portu po zwycięskiej walce wciągał banderę na nok (przedni maszt). Tym razem biało-czerwona bandera wojenna powiewała na "Błyskawicy" która dowodziła jednym z dywizjonów operacji nocnej.

Po dwu dniach postoju "Błyskawica" dzisiaj znów idzie w morze. Tym razem jednak jestem na pokładzie.

Sytuacja po drugiej stronie kanału przedstawia się prosto: Niemcy są bici we Francji, lotnictwa ich niemal się nie widzi. Kanał został przecięty w sposób zdecydowany przez aljantów, a to stawia marynarkę niemiecką w sytuacji nader trudnej.

Od początku inwazji, okręty niemieckie rzadko wychodziły na morze. I raz było to właśnie wówczas, kiedy kontrtorpedowce sojusznicze dały im tęgiego łupnia. Co będzie dalej — nie wiadomo.

W każdym razie jet pewna emocja. Bo przecież jeżeli raz okręty nieprzyjacielskie opuściły względnie bezpieczne bazy na Atlantyku, mogę powtórzyć swój manewr jeszcze raz. I może będzie to właśnie tej nocy?

Serce bije tym samym rytmem, jakim biło kiedyś — w latach dawnych i bezpowrotnie minionych. Z mgły gęstniejącej nad stalową wodą wyłaniają się obrazy nierzeczywiste, chociaż prawdziwe, — wywołane pamięcią i pamięcią własną utrwalone.

Były góry-olbrzymy. I śnieg leżał na nich, iskrząc się w słońcu pięknego dnia zimowego. I zwierz był w tych górach,—zwierz ciekawy. Kozioł skalny, skalne, tybetańskie barany, lampart i wielki niedźwiedź brunatny. A nawet nie rzadko pantera zaglądała w te odległe zakątki błękitnej Persji.

Ścieżki zwodne tam były i wąskie. Z pod nóg sypały się kamienie i wiele, bardzo wiele trzeba było mieć w sobie sił, wytrwałości i miłości myśliwstwa, aby drapać się wyżej i wyżej, a potem czekać bez ruchu na zwierza, który tu był napewno. Byleby tylko chciał wyjść ze swch kryjówek. Byleby tylko nie przeczuł mojej obecności, byleby najmniejszego dźwięku nie dosłyszał, którybY się kojarzył w nim z odgłosem moich kroków, — kroków myśliwego!

Tę samą emocję przeżywam dzisiaj.

"Błyskawica" idzie z szybkością podlondyńskich pociągów, za nią pruje spienionym śladem partner — kontrtorpedowiec angielski. Partner ten — to "Eskimo". Chadza z "Błyskawicą" oddawna, a ostatnio brał również udział w zwycięskiej bitwie na Kanale. Patrolem dowodzi "Błyskawica".

Morze dzisiaj jest łagodne i śpiące. Otuliło się mgłą i marzy o litościwym człowieku, któryby wyrwał bolesne miny — niewidoczne pułapki i otworzył piękny szlak morski dla statków handlowych i pasażerskich. Morze jest zadumane.

Patrzę na nie po raz pierwszy w życiu z miłością. Taką, jaką się otacza rzeczy bliskie. Takie naprzykład, jak ziemia. Jak własna ziemia, którą się kocha nawet wówczas, gdy jest niewdzięczna. I mimo woli — może nawet wbrew woli — idę okrutną ścieżką samoanalizy.

Dlaczego mam dzisiaj dla morza coś więcej, niż sentyment? Dlaczego jest dla mnie bliskie?

— Czyżby dlatego ,żem się z niem związał na czas nadchodzącej próby i że może się stać strażnikiem moich kości?

Alarm przerwał bieg myśli.

Wąskie przejście pokładu zaroiło się marynarzami. Biegli na swoje stanowiska, pośpiesznie dopinając pod brodą przepaski od nauszników.

Podsłuch wykrył samolot, a wprawne ucho marynarza rozpoznało samolot nieprzyjacielski.

Obsługa obróciła działa w kierunku rufy i kilka salw poszło w powietrze ku niewidzialnemu, ukrytemu w chmurach i mgle wrogowi.

I alarm odwołano.

Podsłuch stwierdził oddalenie się samolotu.

Młody, wysmukły chłopak przygląda się niewidzialnemu niebu, pali papierosa i coraz głośniej klnie:

— Szkoda, psia krew. Bylibyśmy sobie postrzelali.

A może i rzeczywiście szkoda, że nas Niemiec nie zaatakował?

Byłoby na co popatrzeć.

Czyżby istotnie warto było potrzeć?

I rozdwajam się sam w sobie.

Boże, jakże ciężko jest zapuszczać sobie samemu najgłębsze, serdeczne sondy, aby mieć kontrolę nad każdym odruchem, nad każdym krokiem, a nawet nad każdem uczuciem. Niechże mi nikt nie mówi ani słowa o logice, bo ta nie istnieje. Wiem o tem napewno już w drugiej godzinie mego pierwszego patrolu morskiego!

Logika każe stwierdzić, że dobrze się stało, iż samolot nieprzyjacielski odszedł, nie atakując nas. Ale ja wcale nie jetsem wyjątkiem w społeczeństwie "Błyskawicy", który szczerze pragnął tego ataku. Więcej powiem: nie jestem wyjątkiem, który — bez żadnych zresztą podstaw — jest przekonany, że gdyby Niemiec nas zaatakował, zestrzelilibyśmy go.

I taki mi się stał bliski wysmukły, ciemny chłopak, nieustannie patrzący w przecierające się niebo. Ten sam, który "chciał sobie postrzelać".

Przyglądam mu się uważniej.

Ma tak jasne, pogodne spojrzenie, że wydaje się, iż przez te oczy można wejrzeć do głębi serca, które tak samo jasne i przejrzyste być musi. Inne być nie może.

Nieco dalej stoi stary "wilk morski". Nie znam go jeszcze, ale napewno niejedno widział w morzu. — Dzisiaj jest nieogolony, a sowo-ciemny zarost plącze się wciąż w zwojach szala, którym się dość szczelnie owinął. Przglądam się uważnie marynarzowi, aby stwierdzić znowu to samo: przejrzyste, jasne spojrzenie, — nie wiem zresztą dokąd skierowane.

I zaczynam uważnie przyglądać się wszystkim, każdemu z osobna i wszytkim naraz: — wszyscy mają tę samą jasność spojrzenia.

Dlaczego?

Alarm nie pozwala znaleźć odpowiedzi. Wiem tylko tyle, że w mgnieniu oka wszystko się zmienia. Twarze poważnieją, wzrok kieruje się ku niebu — poważny, zaciekły, daleki od dziecinnej jasności....

— Samolot własny. — meldują.

I tak kilkakrotnie cały okręt podrywa się, biegiem zajmuje wyznaczone stanowiska, aby po chwili rozprężyć się na wiadomość, że samolot znowu był własny.

Pod wieczór wypogadza się. Niebo nawet nabiera kolorów. Na widnokręgu rysują się dwie sylwetki okrętów, wysyłających ku nam sygnały. Za chwilę dołączą się do nas i już w 4 kontrtorpedowce pójdziemy pod brzeg francuski. Dwa myśliwce uwijają się w powietrzu, to opadając na wodę, to podnosząc się wyżej. To nasza eskorta powietrzna, przysłana teraz, gdy jesteśmy już blisko od niemieckich baterji i baz lotniczych.

Czas leci szybko. Wachty zmieniają się z regularnością najdoskonalszą, okręt zmienia kurs, krążąc mniejwięcej w tem samem miejscu. Tak nas zastaje noc. Jest ciemna, choć wygwieźdżona i pogodna.

Stary wyjadacz "Błyskawicy", poważnie ranny na Morzu Śródziemnem, opowiada mi o sobie, o rodzinie w Polsce, o przygodach. Zapala się coraz bardziej. Ma lat 23. Jest to silny, rozrośnięty chłopiec. Odłamki pocisków porwały mu ścięgna. Ale potrafił sobie znaleźć na okręcie taką pracę, do której jest zdolny. I pływa nadal.

— Bo okręt jest dla mnie domem. Klnę tu bez przerwy, ale ja lubię swój okręt. Czy pan spał kiedy w hamaku?

— Nie.

— Nigdzie nie będę spał lepiej. Teraz śpię na łóżku, — są bardzo wygodne, niech pan spróbuje naszych łóżek, proszę...

Po niebie nieustannie krążą samoloty, a nieraz nawet słychać ich huk. Są to nocne bombowce angielskie,— czasami zaś myśliwce również dają o sobie znać lekkim gwizdem. Lecą do Francji, od której dzieli nas kilka mil. Krążymy w tej odległości przez całą noc. Tu nas zastaje księżyc, rozleniwiony spełnieniem pełni. Teraz wstaje późno, — po drugiej. Oświetla nas wykrzywioną twarzą, wpatrzoną w spokojną powierzchnię morza i w nas.

Niemcy nie mogą nie widzieć kontrtorpedowców. Ale nie odzywają się— milczą.

I tak aż do świtu, różowiącego się wspaniale.

Młody zakopiańczyk na pomoście dowódcy pyta, czy mi nie jest zimno?

—Nie, skądże?

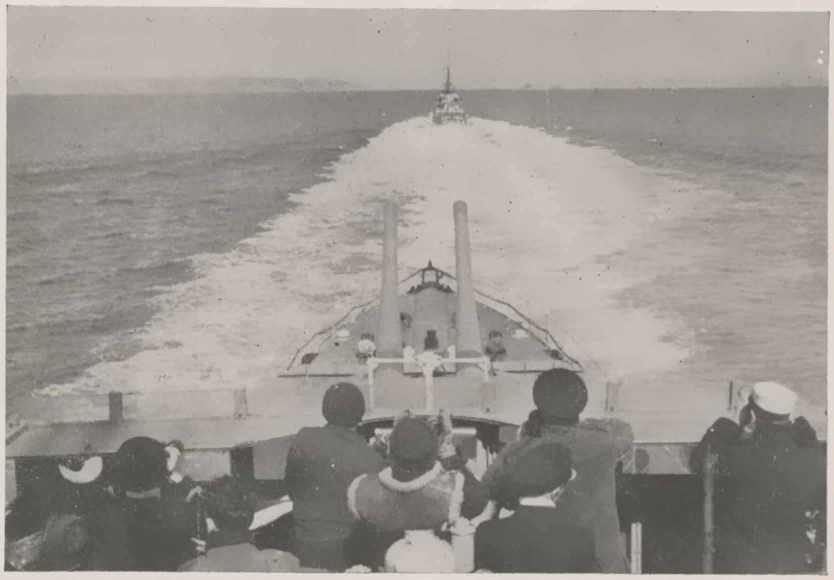
— Bo ja marznę.

Krótka rozmowa z dowódcą, który tumaczy mi cel patrolu i wyjaśnia szczegóły takie, jak odległości od brzegów francuskich, drogę jaką zrobiliśmy, miejsce, w którem w tej chwili się znajdujemy i wszelkie, niezliczone, a dla mnie nie zawsze zrozumiałe szczegóły, — i mogę iść spać. Wracamy do portu.

Wracamy tą samą drogą, pełną chytrze rozrzuconych min. Wracamy całą parą, co w języku lądowych szczurów równa się mniejwięcej 50 klm na godzinę

I znowu mimo woli przypomina się ciężkie polowanie wśród wspaniałych gór błękitnej Persji. Trudna, wysogogórska ścieżka, prowadząca myśliwego na wysokościach przekraczających 3,000 m., pełna ukrytych, niewidzialnych przeszkód. I zwierz, który w tych górach jest. Jest napewno, tylko nie wiemy, czy wyjdzie.

Jakżeż to podobne!



Patrzę na morze po raz pierwszy w życiu z miłością.

Sport i wojna na morzu.

I wydaje mi się, że zaczynam domyślać się, dlaczego marynarze mają jasne, młodzieńcze spojrzenia; — zaczynam domyślać się, że wojna morska ma coś pokrewnego ze sportem. I dlatego wabi i ciągnie. Tak, jak i mnie zwabiła.

— Cóż za śliczny ranek! — wita mnie jakiś marynarz, gdy schodzę z pomostu dowódcy.

A po chwili dodaje:

— Niech pan zobaczy w tę stronę, nad czerwień. Widzi pan?

Na niebie spostrzegłem samolot, amerykański: "Liberator".

— Jaka śliczna sylwetka!

I widzę, że wszyscy wpatrują się w niebo, a potem, gdy samolot znika z horyzontu — w morze, chłonąc nieświadomie jego dostojny czar.

Marynarka wojenna ma w sobie coś ze sportu. Z mego ukochanego sportu-myślistwa. Jestem tego niemal pewien już dzisiaj.

ANATOL MUHLSTEIN

NA POWITANIE GENERAŁA DE GAULLE'A

Generał de Gaulle, głowa walczącej — o swoją i cudzą wolność — Francji, przybywa do Stanów Zjednoczonych. Powitają dostojnego gościa Rząd i Naród Amerykański. Witamy go i my, Polacy na wygnaniu, witamy tem goręcej, że w tym wielkim żołnierzu, w tym wielkim statyście, widzimy przedstawiciela nie partji, nie klasy, ale przedstawiciela niezmiennej Francji, jednego z tych opatrznościowych ludzi, których los zsyła wielkim narodom w dniach próby, w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa. Pokolenie nasze znało jednego z tych ludzi — Józefa Piłsudskiego, który budowę niepodległej Polski, rozpoczął w warunkach odmiennych, ale nie mniej ciężkich niż te, w których Generał de Gaulle swe własne odnowicielskie rozwijał wysiłki.

Kiedy w czerwcu 1940 roku Generał de Gaulle rozpoczął swój pochód ku wielkości na czele oficjalnego ale wówczas duchowo martwego rządu Francuskiego stał wielce "popularny" starzec, wszystkim znany i w zaszczytach pławiący się Marszałek Petain. Doradzał rezygnacje, kapitulacje, zgodę na wyrok losu.

Ale jednocześnie przez radjo londyńskie inny dochodził głos, głos mało znanego szerokim masom francuskim generała de Gaulle'a.

A jednak Francja natychmiast go poznała. Poznała po pierwszych słowach, które do niej wypowiedział: ""La France a perdu une bataille, elle n'a pas perdu la guerre".

Naród francuzki ma czujny słuch. Bez wahania poznał on w tym młodym jeszcze żołnierzu prawego dziedzica wszystkich wielkich swych wodzów: Franciszka I, który z dumą stwierdzał, że choć wszystko stracone, honor jednak uratowany: "tout est perdu fors l'honneur"; Wielkiego Napoleona, który swym genjuszem wojennym i rozmachem politycznym zapewnił Francji, nawet po swej porażce przodujące w Europie miejsce; wymownego Gambettę, który w 1870 roku nie chciał się przed pruską ugiąć mocą, wspaniałego Clemenceau i zwycięskiego Marszałka Focha, którzy w najtragiczniejszych chwilach pierwszej wojny światowej, wierzyli i walczyli o zwycięstwo.

Tak! Naród francuski bez wahania poznał i uznał generała de Gaulle'a, w nim położył swe nadzieje, pod jego sztandarem i pod jego wodzą postanowił walczyć o swój Honor i swe Życie.

Czy wiedziały dokładnie masy francuskie kim jest generał de Gaulle? Czy wiedziały, że przemawiał do nich z Londynu generał, który był największym teoretykiem wiedzy strategicznej naszych czasów, wódz, który mógłby pułki francuskie na Berlin poprowadzić, gdyby jemu, a nie zasuszonym w swej jałowej "fachowości" Gamelinom i Georges'om, organizacja i komenda sił zbrojnych były w swoim czasie powierzone? — Pewno nie wiedziały. Ale nieomylnym swym instynktem wyczuł naród francuski w de Gaulle'u człowieka, który wierzył w jego przyszłość i o nią chciał walczyć.

Po tylu latach "anonimowej" polityki, beztwarzowych rządów ludzi, którzy bali się wielu rzeczy a najbardziej odpowiedzialności, trafił się nareszcie wielki, nieustraszony mąż wiary, natchnienia pełen, żądny odpowiedzialności "avide d'etre responsable", jeden z tych, którzy "w chwilach tragicznych, gdy burza zmiata przyzwyczajenia i banalności, stają samotni i przez to, niezbędni".

Temi słowy opisywał generał de Gaulle w swej klasycznej, skromnie zatytułowanej książce: "Vers L'Armee de Metier", przyszłego zbawcę Francji. Pomyśleć można, że w pierwszej wizji major de Gaulle opisuje późniejszego generała de Gaulle'a. A opisuje bardzo zwięźle, o niczem nie zapomina, ani o powodach swych niepowodzeń służbowych, ani nawet o zarzutach, które później obfitym deszczem spadną na barki Wodza Walczącej Francji... i zawczasu na nie odpowiada.

"To wszystko co jest głębokie szczególne, zbawcze w człowieku stworzonym do wielkich czynów — nie podoba się poza ciężkiemi czasami. Chociaż w zetknięciu się z nim odczuwa się jego wyższość, która wzbudza szacunek — rzadko kiedy jej się sprzyja. Zresztą jego zdolności, dostosowane do trudnych czynów, nie nadają się do przystosowań, do intryg i parad, z których budują się w czasach pokoju świetne karjery."

"Byłby on skazany na spaczenie się — gdyby brakło mu dla podtrzymania go mocnego oparcia w ambicji. Nie znaczy to aby miała go ożywiać namiętność godności i honorów, która nie jest niczem więcej niż karjerowiczostwem — ale nadzieja grania wielkiej roli w wielkich wydarzeniach."

Cóż wobec tej duchowej adoptacji de Gaulle'a przez naród francuski znaczą wszystkie dyskusje i debaty na temat "legalności" jego rządów? Przyszły historyk z wielkim zadziwieniem będzie pisał o tych zabawach prawników. Czy rząd de Gaulle'a jest "legalny"? Cóż to znaczy? Czyż nie jest jasnem i oczywistem, że stara "legalność" III Republiki znikła z chwilą całkowitej okupacji ziemi francuskiej i wzięcia w niewolę jednostek i intytucji na których opierał się legalny gmach Rzeczypospolitej?

Stary "legalizm" III Republiki poczęty z rewolucji 4go września 1870 umarł w hitlerowskiej niewoli.

Nie na nim więc, nie na martwej literze prawa, ale na żywej rzeczywistości Ducha opiera się autorytet generała de Gaulle'a, albowiem choć żadne dotychczas o tem nie zaświadczyły wybory, wszyscy, nawet najwięksi przeciwnicy de Gaulle'a muszą uznać, że lud francuski jego a nikogo innego uważa za swego przedstawiciela w tym ciężkim okresie swoich dziejów. Możnaby więc powiedzieć, że rząd de Gaulle'a jest i był od pierwszej chwili, od dnia wygłoszenia wiekopomnego apelu do Narodu francuskiego, jedynym prawym rządem Francji, to co Francuzi nazywają "le gouvernement legitime".

Dla nas Polaków fakt ten żadnej nie ulega wątpliwości i w tem znaczeniu, akt dyplomatyczny uznania przez rząd polski generała de Gaulle'a jako głowy Rządu Tymczasowej Rzeczypospolitej Francuskiej, jest tylko potwierdzeniem, sankcją istniejącego porządku rzeczy, a nie zapoczątkowaniem nowej sytuacji.

Wyswobodzony przez dzielne wojska amerykańsko-angielskie z pod opresji niemieckiej, naród francuski w wyborach powszechnych wypowie swój ostateczny sąd o rządach generała de Gaulle'a w okresie wojennym. Nie ulega wątpliwości, że wola

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly $3.50 Yearly $7.00

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

ludu powoła go do dalszych prac nad reorganizacją gospodarczą, społeczną i polityczną ciężko doświadczonego kraju. W jakim kierunku rozwinie się ta nowa powojenna działalność? Że w kierunku demokratycznym, wiedzą wszyscy: generał de Gaulle jest zbyt wielkim człowiekiem czynu i zbyt głębokim myślicielem, aby marzył o jakiejkolwiek dyktaturze, a naród francuski jest zbyt cywilizowanym narodem, aby miał się pogodzić kiedykolwiek z utratą wolnoci.

Powróci więc Francja do demokracji, ale do jakiej? Czyżby do tej samej, która rządziła w okresie pomiędzy obydwiema wojnami światowemi i doprowadziła kraj do porażki, do niewoli, do hańby Petainowsko-Lavalowskiej?

W liście do Johna Taylora Prezydent Stanów Zjednoczonych Adams powiedział: "There never was a democracy that did not commit suicide".

Surowy to sąd i niesprawiedliwy, jeśli chodzi o demokrację wogóle, ale ta forma demokracji, która panowała we Francji w latach przedwojennych zasługuje na ten przytłaczający wyrok. Ta demokracja istotnie popełniła samobójstwo. Zwyczajny powrót do przeszłości wydaje się więc rzeczą niemożliwą: osłabiona tyloma laty cierpień nowa odrodzona Francja nie zniesie ustroju, który dawną potężną i bogatą Francję doprowadziła do upadku. Budowa nowej demokracji, ukształtowanie nowego ustroju, któryby zapewnił krajowi prężne rządy wolności i równości gospodarczo-politycznej — oto misja, która przypadła w udziale przyszłemu rządowi generała de Gaulle'a.

Wszystkim tym, którzy mają wątpliwości czy generał de Gaulle potrafi sprostać tym ciężkim zadaniom radzimy przeczytać niezwykłą książkę, która nazywa się "Vers l'armee de Metier". Przekonają się wnet do jakich wyżyn myślenia potrafi się wznieść ten wielki żołnierz nawet kiedy rozpatruje czysto wojskowe tematy:

"Prawdziwą więc szkołą dowództwa jest kultura ogólna. Przez nią myśl działa z metodą, rozróżnia we wszystkiem zasadnicze od podrzędnego, dostrzega perspektywy i współzależności, słowem wznosi się do tej wyżyny, z której widzi się całość nie tracąc z oczu odcieni. Nie było wielkiego wodza, któryby nie odczuwał tego czem jest dziedzictwo myśli ludzkiej i nie był przez nie pociągany. Na dnie zwycięstw Aleksandra znajdujemy zawsze Arystotelesa."

Na tych pięknych słowach godnych najwpanialszych piór francuskich godzi się zakończyć te krótkie rozważania.

ZYGMUNT ST. KLINGSLAND

MUZEUM WOJNY

Założono takie Muzeum już po Pierwszej Wojnie Światowej. Mieściło się ono wprawdzie w jednym z bocznych skrzydeł — "Pavillon de la Reine" — historycznego zamku Vincennes, ale było to prawie na odludziu.

Bliżej zetknąłem się z nim w 1932 roku, kiedy Biuro Historyczne naszego Ministerstwa Spraw Wojskowych poruczyło mi urządzenie polskiej sekcji Muzeum Wojny Światowej, mieszczącego się tam właśnie.

Długie wędrówki po wszystkich salach w pszukiwaniu kąta na polską sekcję dały mi możność poznania rozmaitych błędów organizacyjnych całego muzeum.

W muzeum Vincennes główny nacisk położony został na gloryfikację bohaterskich czynów, dokonanych przez żołnierzy sojuszniczych, i na karykaturalne ośmieszanie wszystkich przeciwników. Muzeum zaś takie powinno, w samem założeniu swoim, służyć zwłaszcza dydaktycznym celom — powinno kierować się, w doborze swoich eksponatów, myślą o możliwie plastycznem zobrazowaniu okropności wojny; powinno być możliwie przekonywującym aktem oskarżenia przeciwko sprawcom wojny. Im wyższy będzie artystyczny poziom tych dokumentów-eksponatów, tem większą siłę wyrazu posiadać będzie samo muzeum, które powinno być groźną przestrogą dla przyszłych pokoleń.

Na podstawie tych kilku refleksji krytycznych, nasuwających się przy zwiedzaniu Vincennes, łatwiej określić już można zasadniczy charakter ewentualnego muzeum obecnej Wojny Światowej. Po pierwsze więc, siedziba jego znajdować się powinna w tem samym mieście, gdzie obradować będzie komitet przyszłej Ligi Narodów, która, jak to wynika z oświadczeń jej projektodawców, powołana ma być do życia dla czuwania nad trwałością sprawiedliwego pokoju i dla zapobiegania nowym zatargom zbrojnym.

Bóg obdarzył człowieka nietylko pamięcią ale i zdolnością zapominania. Zdolność ta, która jest dobrodziejstwem, kiedy stępia ostrość najboleśniejszych nawet przeżyć osobistych, może stać się klątwą, jeżeli zaciera wspomnienie krwawych tragedji historycznych, spowodowanych zbrodniczemi ambicjami poszczególnych ludzi lub całych narodów. Byłoby wskazane więc, aby muzeum Wojny mieściło się w bezpośrednim sąsiedztwie gmachu Ligi Narodów, gdyż byłoby wskazane, aby ci, którzy stanowić będą o losach świata, mieli możność, zanim powezmą ostateczną decyzję, odbycia każdorazowo wędrówki po salach muzeum wojny.

Niemniejsze znaczenie mieć musi należyty dobór eksponatów. Dla uczczenia bohaterów wojny niechaj w poszczególnych krajach będą wznoszone pomniki, budowane panteony, pisane poematy, układane hymny. Będą to naturalne, słuszne i nawet pożądane przejawy hołdu narodowego, składanego żołnierzom czy generałom, którzy z heroicznym poswięceniem walczyli dla kraju swojego. Ale rycerskie ich męstwo nie powinno być gloryfikowane w międzynarodowym muzeum, którego ideowym zadaniem naczelnym jest pokazanie wojny od jej najgorszej i najokropniejszej strony. Istotnym zadaniem takiego muzeum być musi wychowywanie świata w nienawiści do wojny, którą zatem pokazać należy, odartą z epickiej monumentalności, pióropuszowego romantyzmu, lirycznego patosu. Oczywiście, nie znaczy to wcale, by wojna pozbawiona była swoistego piękna, którego odmówić nie można najstraszliwszym nawet kataklizmom żywiołowym. Ale nie należy łączyć wzniosłego symbolu tego piękna, jakim jest Grób Nieznanego Żołnierza, z ideą zbrodniczości wojny, będącą istotną racją bytu przyszłego Muzeum.

Muzeum wtedy spełni swoje istotne zadanie, jeżeli wykaże, jak dalece błędne są zawsze te przewidywania, rachuby, nadzieje — jeżeli udowodni, że wojna jest ciężką zbrodnią, za którą winni ponoszą zawsze jeszcze cięższą karę.

BISKUP GAWLINA DO ZWYCIĘZCÓW Z POD MONTE CASSINO

LIST PASTERSKI ODCZYTANY W DZIEŃ ZIELONYCH ŚWIĄT W ODDZIAŁACH IIgo KORPUSU POLSKIEGO WALCZĄCEGO POD MONTE CASSINO

Józef z łaski Bożej i zmiłowania Stolicy Apostolskiej Biskup Mariammenski — Biskup Polowy Wojsk Polskich przesyła Dowódcy i Żołnierzom II-go Korpusu na polu bitwy pod Cassino pozdrowienie i błogosławieństwo w Fanu.

Bóg dał zwycięstwo. Na Monte Cassino powiewa sztandar polski. Oczy całego świata zwrócone były na tę twierdzę, którą nieprzyjaciel uważał za symbol swego honoru wojskowego. Przed nami inni zdobywali tę górę żelaza i betonu, jej zbocza zasiane minami. Zdruzgotał ją dopiero oręż polski.

W dniu Św. Andrzeja Boboli wyszliście do decydującego ataku. A już w święto Wniebowstąpienia Pańskiego rozległa się w eterze triumfalna wieść, podana wszystkim narodom, że Drugi Korpus Polski złamał — w zaciętych walkach — pychę nieprzyjaciela. Chylą się dziś przed Wami sztandary polskie i gdziekolwiek żyją Polacy, żyje Wasza sława — zdobywców Klasztoru Monte Cassino.

Walczyliście nietylko o ruiny opactwa, nietylko o drogę Aljantów do Rzymu, ale odnieśliście zwycięstwo w walce o wolność i niepodzielność Polski. W szeregu naszych wielkich historycznych bitew, zwycięstwo przez Was wywalczone zajmie zaszczytne miejsce, a każdy z Was z dumą będzie mógł powiedzieć: "I ja walczyłem o Monte Cassino".

Bóg nam dał zwycięstwo! Bogu Najwyższemu oddajmy przeto cześć i chwałę.

Boże Wszechmogący, który ojcowskim okiem czuwasz nad narodem naszym, Boże Chrobrych, Batorych i Sobieskich, my — żołnierze twoi — korzymy się przed Tobą w serdecznej modlitwie. Boże litościwy, któryś nas w cudowny sposób wyrwał z domu niewoli i nie dał się potknąć nodze naszej na bezdrożach pustyń i gór — Panie Zastępów, któryś nas prowadził przez piaski Libji, płomienie Tobruku i dymy Gazali — my, żołnierze Polski — składamy Ci dzięki za palmę zwycięstwa, którą ku pokrzepieniu Matki-Ojczyzny z łaskawych rąk Twoich otrzymaliśmy dzisiaj.

Wielbimy Cię za światło, którym oświecałeś naszych dowódców, za moc, którą wlałeś w serca nasze, za błogosławieństwo, którym darzyłeś nas w boju.

Baranku Boży, u którego Grobu świętego dzierżyliśmy straż, składamy Ci chwałę i uwielbienie. Pokrzepieni Ciałem i Krwią Twoją, ruszyliśmy do boju i zwyciężyliśmy.

Do Ciebie — Matko Najświętsza — Królowo Korony Polskiej, garną się żołnierze Twoi w radosnej wdzięczności, żeśmy za przyczyną Twoją zwycięstwo odnieśli w Twoim miesiącu maju.

Drodzy Bracia! Jako Wasz pasterz z głębi serca dziękuję Bogu, że mi pozwolił być z Wami w tych dniach krwi i chwały Waszej. o których w najdalsze czasy wspominać będą polskie pokolenia.

I cóż Wam powiem od siebie prócz słów najszczerszego podziwu. Nieprzyjaciel nazywał Was armją wycieńczoną, korpusem malarycznym i szydził z Waszej liczby. Na czem więc polega tajemnica Waszej dzielności?

Widzę ją w Waszych cnotach religijnych i żołnierskich.

Wszyscy podporządkowaliście swoje własne "ja" woli Bożej i tak spełniliście wiernie Wasz obowiązek w najwyższym duchu ofiary, który nie jest niczym innym. jak duchem miłości Bożej. "Ku chwale Boga i Ojczyzny" — odpowiadali mi ranni, gdy im dzięki składałem za ofiarnie przelaną krew. Wcieliliście ponownie w czyn słowa wielkiego hetmana naszego: "Służba Boża przez służbę Ojczyzny". Od dowódców aż do najmłodszego żołnierza, prawie bez wyjątku, oczyścililiście dusze Wasze w Sakramencie Pokuty i pokrzepieni wielkanocną Komunją Świętą szliście w bój. "Niech będzie pochwalona i we wszystkim uwielbiona Twoja Najświętsza i Najmiłosierniejsza Wola, mój Boże"— taka była Wasza modlitwa. Spełniając wolę Bożą, czuliście się wybranym Jego narzędziem.

Wiedzieliście, jak bardzo czyn Wasz pokrzepi Polskę, jak Matkę naszą wywyższy w oczach całego świata i z miłości ku Ojczyźnie szliście przez ogień straszliwy i pola minowe, zdobywaliście umocnienia, jakich nie zna historja tej wojny. A gdyście na Monte Cassino zawiesili sztandar biało-czerwony, wiedzieliście, że Matka nasza Wam błogosławi czułą i wdzięczną dłonią.

Łączyła Was wszystkich miłość społeczna, dowódców z żołnierzami, a żołnierzy między sobą. Szeregowi byli pełni uznania dla swych oficerów, wielu składało na moje ręce podziękowanie dla swoich dowódców za ich troskliwość i ofiarność.

Ucieczka wielu rannych na front, gdzie śmierć bez litości siekła, jest zdumiewającym przejawem Waszej miłości społecznej, przed którą jako stary żołnierz czoło chylę. "Tam zostawiłem moich przyjaciół i kolegów, których opuścić nie mogę" — brzmiała często ich odpowiedź. Na prawdę, "większej nad tę miłości nikt nie ma, aby kto duszę swoją położył za przyjaciół swoich" — Jan 15.

Księgi zapisać będzie można przykładami męstwa Waszego, wielkoduszności ,ambicji żołnierskiej i wytrwałości ,zarówno w bezpośredniej walce z nieprzyjacielem, jak i w pracy wszystkich naszych służb. Nigdzie, ani w punktach opatrunkowych, ani w szpitalach nie słyszałem jęku. Widziałem natomiast wielu i to poważnie rannych, którzy jeszcze z noszy wyrywali się, by wrócić do swych oddziałów i dopełnić i tak już krwią serdeczną przypieczętowanego obowiązku. "Ręką walcząc, ale sercem Boga wielbiąc", jak mówi Pismo święte, dokazaliście cudów męstwa.

Skały opactwa świętego Benedykta zrosiły się krwią polską. Jesteśmy szczęśliwi, że sztandary Polski katolickiej powiewają u szczytu góry, skąd przed czternastu wiekami wytrysło potężne źródło cywilizacji katolickiej dla całej Europy i dla nas Polaków.

Lecz do słodkiego wina trjumfu domieszały się również gorzkie

krople piołunu. Myślę o naszych poległych.

Starzy, zahartowani w bojach żołnierze kładli się do wiecznego snu obok młodzieniaszków ,którym uśmiechało się życie. "Aż do śmierci walczyli dla sprawiedliwości" (II Mach. 13. 14). Czyż ich rodziny, zwłaszcza te do Rosji wywiezione, dowiedzą się o ich bohaterskiej śmierci? Czyż tam wolno będzie kapłanom odprawić za spokój ich duszy Requiem żałobne?

Miłością płacili za miłość! Oni polegli, aby żyła Polska. Ogrzewajmy przeto wargi serdeczną za ich modlitwą, a serce nasze niech wznosi prośby do Boga za nich, co wierni byli aż do śmierci. Niechaj chorąży Boży — święty Michał Archanioł i Rycerz — prowadzi ich dusze przed tron Najwyższego. Niechaj Królowa Niebios i Matka naszą bojowników swoich oddaje Panu Zbawicielowi naszemu.

Exultabunt ossa humiliata. Rozradują się również ich poszarpane i sponiewierane ciała. I zbierze się kość do kości, ich ciało powlecze się skórą i powstaną z grobów swoich, by wielbić Boga, który zabija i ożywia, a wiernych swoich darzy żywotem.

Słowem arcypasterskim zwracam się również do Czcigodnych Braci moich kapłanów. Odwiedzałem wielu z Was podczas bitwy na różnych posterunkach Waszej pracy duszpasterskiej i mogę wydać świadectwo, że spełniliście Wasze officium nobile z największem poświęceniem, zaskarbiliście sobie miłość żołnierza, wdzięczność Ojczyzny i uznanie Kościoła.

Nie było wypadku, aby ranny nie był zaopatrzony Sakramentami świętymi—a jednocześnie pochwała dowódców jest najlepszym dowodem, że również jako żołnierze daliście przykład mocy ducha.

Bolesne są straty wśród braci kapłańskiej. Lecz bądźcie pewni błogosławieństwa Arcykapłana naszego — Jezusa Chrustysa:

"Tak, Bracia moi najmilsi i wielce pożądani, wesele moje i korono moja. Tak stójcie w Panu, Najmilsi!" (Filip 4.1.)

"Bóg, który nie według potęgi broni, tylko jak Jemu się podoba, darzy zwycięstwem" (Mach. II) dał trjumf Polsce. Wśród płomieni rażących i huku dział kroczyliście drogą między życiem i śmiercią. Opatrzność zachowała Was przy życiu. Wśród ożywczych płomieni Ducha świętego i szumu Jego skrzydeł składamy dziś Trójcy Przenajświętszej ofiarę dzięczynną. "Nie nam Panie, nie nam, ale Imieniowi Twemu daj chwałę" (Ps. 113).

W dzień Zesłania Ducha Świętego życzę Wam, aby dary Jego zawsze w Waszych sercach gościły, by ta sama miłość i męstwo, które dały Wam zwycięstwo, towarzyszyły zawsze Waszym czynom, byście w skwarze wojennym doznawali zawsze Jego ochłody i pociechy, a po szczęśliwie zakończonej wojnie budowali Ojczyznę w duchu Jego miłości i rady.

"W Tobie, Panie pokładamy nadzieję i nie zginiemy na wieki".

Tak Wam błogosław Bóg Ojciec i Syn i Duch święty. Amen.

Dan w miejscu postoju w Italji. W uroczystość Zesłania Ducha Świętego — Dnia 28 maja 1944 roku.

Józef Gawlina
Biskup Polowy Wojsk Polskich.



Generał Anders, dowódca drugiego Korpusu i bohaterscy nasi żołnierze otrzymali z okazji wspaniałego zwycięstwa pod Monte Cassino, jak również z powodu swego rycerskiego zachowania się w czasie całej kampanji włoskiej niezliczone dowody uznania od przedstawicieli Armji Sprzymierzonych, od najwyższych dostojników państw aljanckich i ze strony wreszcie ludności Włoch, które wita w Polakach prawdziwych rycerzy wolności.

Ojciec Święty Pius XII przyjął generała Andersa na specjalnej audjencji w Watykanie i udzielił mu błogosławieństwa Apostolskiego dla całego Korpusu.

Na naszej fotografji widzimy generała Andersa w towarzystwie Księcia Humberta, regenta Italji, który złożył powinszowania i podziękowanie zwycięskiemu Drugiemu Korpusowi.

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

POD ZNAKIEM CZERWONEGO KRZYŻA

"Łapiduchy" — mówiono o nich dotychczas z pobłażliwym uśmiechem. "Dobry kolega" — powie dziś nie jeden — "jemu zawdzięczam życie."

Bo żołnierz służby zdrowia wykazał na polu walki, że jest "dobrym kolegą", rozumiejącym i sumiennie spełniającym swój obowiązek.

Sanitarjusz noszowy idzie w pierwszej linji natarcia, przedziera się przez te same krzaki, potyka na tych samych głazach, pnie się na strome zbocza. Tylko zamiast karabinu, zamiast granatu w ręce, którym można razić wroga, bronić się atakować, ma nosze. Tylko zamiast upojenia bitewnego, zamiast podniecenia walki, musi mieć w sobie spokojną i czujną uwagę na głos, wzywający jego pomocy.



Życie uchodzi z żył rozdartych. Tylko natychmiastowy zabieg może go uratować...

Tylko zamiast jednego skoku wprzód, musi on schodzić w dół i wracać spowrotem nie raz i nie dwa..

Siedząc na zwalonym pniu w zielonym parowie, pytam st. strzelca Pawła K., sanitarjusza kompanijnego, który od miesiąca nie schodził z linji, a w ostatnich sześciu dniach był cały czas w swoim nacierającym baonie, kiedy miał najtrudniejszą pracę.

"Na tym Angelu" — mówi Paweł K. kiwając głową w stronę kamiennego grzebienia — "to był najgorszy dla mnie moment, jak z pod pocisków wyciągałem tych rannych. Kiedy to było. No, popołudniu. Kampanja poszła do prezciwnatarcia. Zaczęło się piekło... Artylerja biła — że stanąć nie można było. Odrazu kilku rannych.

Jednego wziąłem na plecy, na tornister, bo już nie zdążyłem zdjąć, dwaj szli trzymając się mnie za pas — a reszta "korowojem" za mną.

Idziemy tak po tej skale — a biją wokolusieńko raz po razie. I chciałby się człowiek przytknąć za jaki kamień, ale nijak... Bo to i tych trzeba prędko odstawić i drudzy tam już czekają... Wtedy ja ich 23ch wyciągnął... — mówi, zapalając wolno papierosa — "możnaby było więcej, ale teren nadto górzysty..."

Ten sanitarjusz odnalazł też kpt. Kr. ciężko rannego pod samym szczytem San Angelo.

"Nie można było do niego podejść" — opowiada teraz — "tak strasznie bili z maszynek. Podczołgałem się, próbowałem wziąć na plecy — ale nie dałem rady — był za ciężki."

Więc zostawił kapitanowi cytrynę (herbaty już nie miał w manierce) i poczołgał się spowrotem na bataljonowy punkt opatrunkowy, żeby zawiadomić lekarza.

Tam szła gorączowa, pośpieszna praca. Znoszono zewsząd rannych. Kilkunastu ich leżało na ziemi między głazami. Dwaj lekarze pracują zawzięcie, bez słowa, w odległości 5-6 metrów od siebie. Nagle pomiędzy nich pada pocisk. Wytryska w górę snop ziemi zmieszany ze strzępami rozszarpanych ciał. Straszliwy krzyk przeszywa powietrze. A lekarze. Cóż, lekarze tylko podwajają tempo pracy.



"Otacza rannych nadzwyczajną opieką i troskliwością"

Bo tempo, bo pośpiech decyduje tu o życiu człowieka. Pochylony nad rannym doktor myśli tylko o jednem: jak najszybciej odesłać go dalej. Ale nieraz przynoszą takiego, któremu życie uchodzi gwałtownie z rozdartych żył. Tylko natychmiastowy zabieg może go uratować. Wtedy lekarz bataljonowy na miejscu, pod gradem pocisków, na ziemi — często w nocy pociemku, bez światła — nakłada bandaż uciskowy na tryskające krwią arterje, robi transfuzję.



Tam szła gorączkowa, pośpieszna praca. Znoszono zewsząd rannych...

A potem — gdy tylko transport nie zagraża życiu — na nosze i dalej — na w. p. o. — wysunięty punkt opatrunkowy.

W. p. o. naszego odcinka mieści się w domku jakimś cudem ocalałym, wśród starych drzew nad drogę. Stałą jego obsadę stanowią dwaj młodzi ppor. lekarze: dr. P. i dr. F.

Ppor. F. to mój stary znajomy. Korzystając więc z tego, że teraz jest tu względny spokój i że rozmowa nie będzie przeszkodą w pracy, zwracam się do niego:

"Jakżeście dawali sobie radę w te gorące dni."

"O, wzięliśmy tempo" — mówi doktor — "cholerne tempo". No, i wszystko było pierwszorzędnie zorganizowane. W krytycznym momencie podesłali nam pomoc, tak że było nas trzech, potem sześciu.

" Ale my dwaj" — mówi uśmiechając się do doktora P. — "siedzimy tu już przeszło trzy tygodnie. Zpoczątku — cóż — było dość spokojnie: 5-6 rannych dziennie.... Tyle tylko, że ostrzeliwali nas od czasu do czasu. Raz zrąbali nam sanitarki, bańki z benzyną, sprzęt... O," — pokazuje mi pogiętą tablicę leżącą przed domem — "znak orjentacyjny nam zbili moździerzem...

Ale tak, naogół — spokojnie...

Zaczęło się dopiero naprawdę 11go w nocy. Bez przerwy w ciągu wielu godzin waliły pociski. Koło godziny trzeciej zaczęli napływać pierwsi ranni. Coraz więcej. Wkrótce zabrakło czasu i rąk. A robiliśmy tylko rzeczy najkonieczniejsze: opatrunki, injekcje przeciwtężcowe i przeciw zgorzeli gazowej, morfinę dla szczególniej cierpiących i zszokowanych...

Fala rannych płynęła bez przerwy. Przez cały następny dzień, całą na-

stępną noc... Nie ma słów uznania dla pracy naszych sanitarjuszy, naszych noszowych. Chodzili oni cały czas po tym strasznym terenie znosząc rannych z linji. Są wśród nich ranni podczas pracy. Większość ma pęcherze na rękach i poobcierane do krwi dłonie od dźwigania nosz...

Zmęczeni byliśmy potwornie, bo to i bezsenność i nawał gorączkowej pracy. Pomimo nocy — koszule mokre od potu.

Pracowaliśmy jak opętani — prędzej, prędzej, prędzej... Przecież tu każda chwila decydowała o uratowaniu życia ludzkiego. A oni, ranni, byli nadzwyczajni.

I jeżeli można mówić o jakimś zadowoleniu w tej upiornej nocy, to największym były dla mnie słowa wdzięczności z ust rannych, no i fakt, że na kilkuset którzy przez nasz punkt przeszli tylko jeden ze skomplikowanym złamaniem uda zmarł pomimo transfuzij, a w dalszym transporcie nie było ani jednego śmiertelnego wypadku."

— Jak długo trwa taki transport."

— "O, to zależy od wielu różnych okoliczności, przedewszystkiem od tego, co się w tym czasie dzieje na drodze... Oczywiście, staraliśmy się wypchnąć rannych jak najszybciej do głównego punktu opatrunkowego (g. p. o.).

Transport odbywa się sanitarkami do wąwozu inferno, gdzie się znajduje g. p. o. Tam już pracują czołówki chirurgiczne i transfuzyjne, dokonując natychmiast operacji — nieraz ciężkich. I to właśnie przyczyniło się do uratowania życia ciężko zranionych żołnierzy, którzy nie byliby w stanie wytrzymać dalszej drogi."

— "Czy bezpieczeństwo pracy na g. p. o. jest większe niż na wysuniętym punkcie."

— "Ale skądże" — mówi dr. F. — "przecież Inferno jest całe pod obstrzałem. Właśnie tam były największe straty wród lekarzy. Niedawno ostrzelali ich Niemcy: zginęli podczas pracy dwaj doktorzy: por. Graber i ppor. Napara, został wtedy zabity także ks. Huczyński, kapelan Lwowskiej Brygady i drużynowy noszowych kapral Giruć. Wielu sanitarjuszy i noszowych było ciężej lub lżej rannych..."

Żegnam się z moim rozmówcą, bo dla dopełnienia obrazu pracy naszej służby chcę jeszcze dziś odwiedzić Sanitarny Ośrodek Ewakuacyjny, — tak zwany z angielska C. C. S. Dwa takie polskie ośrodki mieszczą się w okolicy Venafro. Do komendanta jednego z nich, ppułk. S. melduję się nad wieczorem.

Pan pułkownik S. z właściwą Poznaniakom systematycznością i skrupulatnością zaznajamia mnie z urządzeniami swego C. C. S.

"Ranny dostaje się do ośrodka z pozycji artylerji w ciągu 2-4 godzin, z piechoty trwa to dłużej: od 4ch do 12stu godzin. Tempo przekazania rannego jest największą troską w. p. o. i g. p. o.

U nas, po wyładowaniu z sanitarki, natychmiast jest wyniesiony na izbę przyjęć. Tutaj pracuje jeden lekarz, który segreguje rannych na zdolnych do dalszej ewakuacji bez operacji i dodatkowych zabiegów i na tych, którzy potrzebują natychmiastowego zaopatrzenia.

Ci idą na oddział przedoperacyjny połączony z oddziałem transfuzyjnym. Obsługuje i przydziela rannego poszczególnym zespołom operacyjnym. W razie potrzeby robi transfuzję krwi.

Jest trzy zespoły chirurgów po dwóch lekarzy, czynne całą dobę Dwa zespoły pracują — trzeci odpoczywa.

Po operacji chirurg kwalifikuje pacjenta, robi opis, orzeka czy można rannego transportować dalej do szpitala na głębokie tyły.

Niezdolni do ewakuacji idą na oddział pooperacyjny (105 łóżek), gdzie doznają normalnej opieki szpitalnej.

Zdolni do transportu idą na oddział ewakuacyjny, skąd po kilku godzinach, odpocząwszy po narkozie i innych zabiegach, jadą dalej.

Z chirurgją jest połączony oddział rentgenologiczny zaopatrzony w przyrządy do widzenia stereoskopowego— dla ustalania odłamków w ciele rannego.

— "A jak Pan Pułkownik ocenia pracę swego personelu" — zadaję drażliwe pytanie.

— "Szeregowi pracują z przykładną gorliwością" — mówi pułkownik S. — "tak jak nie śmiałem się nawet spodziewać. Nie tylko nie trzeba nikogo zachęcać do pracy, ale muszę ludzi zganiać z roboty. To samo siostry. Pracują one na zmianę — po dwanaście godzin. Pracują z wielkiem sercem, otaczają rannych nadzwyczajną opieką i troskliwością.

"Też niechcą schodzić z pracy"— uśmiecha się pułkownik — "no, ale ja pilnuję, żeby personel odpoczywał, inaczej bardzo szybko wszyscy byliby tak przemęczeni, że robota musiałaby kuleć".

— "Kiedy był największy napływ rannych".

— "12 i 13 maja było maksymum nasilenia.

Oczywiście, przy tak dużym napływie mogliśmy operować tylko nagłe i co cięższe wypadki, — normalnie staramy się załatwić chirurgicznie wszystkich.

— "A ranni. Jak się zachowują ranni."

— "Nadzwyczajnie. Podziwu godną jest ich wyrozumiałość, cierpliwość, opanowanie... Pozatem rzuca się w oczy doskonała fizyczna kondycja. Pomimo malarji, głodu i tych wszystkich przejść w Sowietach, fizycznie nasi stoją znacznie wyżej od jeńców niemieckich. Wśród tej masy rannych miałem zaledwie kilkanaście wypadków szoku nerwowego.

Co zaś do morale naszego żołnierza, to zawsze była ona dobra, a w ostatnich działaniach taka, że nie moż na sobie wyobrazić wyższej.

Ranni nie chcą jechać do szpitala, chcą wracać na linję. Dziś mi jeden uciekł w pijamie do oddziału."

Tak rozmawiając wchodzimy do namiotu, gdzie się mieści chirurgja. — Pracuje tu w tej chwili kpt.--lekarz J. i siostra operacyjna Ewa.

Na stole leży młody czarniawy chłopiec. Założył ręce pod głowę, patrzy spokojnie, usiłuje się uśmiechać, choć widzę, że ból mu dokucza.

Pochylona nad nim siostra Ewa przeciąga najbardziej lwowskim z lwowskich akcentem: ta to będzie taka heca: rana szarpana uda i podudzia, stopa strzaskana..."

— "Gdzie ranny" — pyta doktor.

Żołnierz odpowiada spokojnie, mówi wyraźnie.

Likwidował schron na Widmie. Walczyli granatami. — "Rzuciłem granat do schronu, — było ich tam siedmiu — wszyscy przyjechali tu ze mną — ale jeden zdążył mnie pod nogi uderzyć..."

— "Tak" — mówi kapitan — "widać jak poszło... Pani Ewo, niech Pani patrzy czy odłanków nie ma... Ona jest pies na odłamki" — zwraca się mnie — "bo te odłamki to paskudna rzecz. Miałem tu kiedyś wypadek: postrzał głowy, czaszka zarąbana, kość wbita w mózg, na niej odłamek szrapnela... Beznadziejna sprawa, to ten odłamek..."

— "Dziś mu oddałam" — przerywa siostra Ewa — "bo już przytomny..."

— "Tak" — mówi doktór — "dziś mu zdjąłem szwy."

Przed izbę chorych zajeżdżają sanitarki. Sanitarjusze w mig wynoszą rannych. Od pierwszej linji, gdzie noszowy często na plecach wynosi kolegę z pod ognia, podają ich sobie z rąk do rąk aż tu żołnierze służby zdrowia.

Tempo, tempo, tempo. Wyścig umiejętności ludzkiej, sprawności fachowej ze śmiercią.

Kto pierwszy zdąży.

Czy ona zimną dłonią serce słabe na wieki zatrzymać, czy lekarz ożywczym strumieniem transfuzji, zabiegiem na czas dokonanym, do życia je powrócić.

W tym upiornym wyścigu człowieka ze śmiercią zwyciężyła nasza służ ba zdrowia.

JAROSŁAW ŻABA

"KRESOWA" ŻEGNA POLEGŁYCH

Obok górskiej włoskiej nawpół zrujnowanej wioski Acquafondata, w zalanej słońcem dolinie stanęły wyrównane szeregi Kresowej, by pożegnać ostatnią modlitwą tych, którzy padli na odcinku w walce o Cassino, a dziś spoczywają w rzędach skromnych żołnierskich mogił.

Świeże to mogiły. Jeszcze nie wszystkie mają skromne drewniane krzyżyki. Na wszystkich jednak leżą kiście kwiatów: róż, rumianu, piwonji, lilji. Kwiaty przynieśli koledzy i takie same kwiaty trzymają dzieci i kobiety włoskie, które całą gromadą przyszły dziś pomodlić się na grobach tych, co wreszcie uwolnili ich przyfrontową wioskę od grozy wojny.

Na środku cmentarza wysoki kirem okryty krzyż.

Na cmentarz wchodzi Dowódca Korpusu. Generał Anders z Dowódcą Dywizji. Idą wolno od mogiły do mogiły w tym ostatnim najcięższym dla nich przeglądzie. Mijają długie kwadranse, a generałowie jeszcze nie obeszli wszystkich mogił.

Generał Anders oddał hołd ostatniej skrajnej mogile. Schodzi w dolinę do ustawionych czworoboków.— Długo salutuje sztandar Kresowej. Idzie od czworoboku do czworoboku, patrzy uważnie w twarze tych,którzy wydarli Niemcom zaciekle bronione pozycje od "Widma" do góry Cairo.

Rozpoczyna się nabożeństwo celebrowane przez Biskupa Polowego Ks. Gawlinę.

Płyną żałobne pienia chóru Kresowej. Do stojącej gromady Włochow przeciska się po przez szeregi staruszka z wioski. Znam ją. To matka, ktorej dwu synów padło w tej wojnie.

Ks. Cieński przypomina prawdę dla Polaka najświętszą o jedności, miłości Boga i Ojczyzny:

— Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci, niech odpoczywają w pokoju wiecznym. Amen.

Te słowa wyrażają naszą wiarę w nieśmiertelność duszy ludzkiej i troskę, o tych, którzy na rozkaz Boży odeszli od nas do życia wiecznego. Tę troskę o tych, którzy odeszli, bierzemy od Zbawiciela, który przyszedł na świat, aby ludzkość zbawić ucząc prawdy, że Boga kochać należy z całego serca, a dla Niego i w Jego tylko imię wolno kochać wszystko, co On dał nam na ziemi.

...Dziś stoi Wojsko Polskie Dywizji Kresowej nad świeżemi mogiłami, które zamykają walkę o wolność Polski w bitwie pod Cassino, w której dali oni ofiarę z życia swego za miłość Ojczyzny...

My chcemy mieć wolną niepodległą Polskę, aby na jej ziemi jak najwięcej chwalić Boga, aby w Jego imię umieć żyć i pracować dla Polski.

Leżą tu wszystkie stany polskie i wśród nich kapelan wojsk polskich, ten sam, który niósł pomoc wam idącym w bój. A te ofiary wszystkie razem to dalszy ciąg modlitwy i ofiary całego polskiego narodu...

Zginęli w bitwie o Cassino. A cóż to nam powie góra, na której od wieków stał klasztor Benedyktynów?

Cztery razy zniszczony, gruzy tylko po nim pozostawały i trzy razy już przez wieki pracy był odbudowany. Tak i dziś te mury odbudowane będą, bo to, co z ducha Bożego powstaje nie umiera nigdy.

I tak my z polską sprawą nad mogiłami naszych braci stojąc pamiętajmy, że przez miłość Chrystusa powstanie również Polska.

Dziś najdostojniejszy pasterz Polskich Wojsk bierze tu chleb i wino i przemieni je mocą Bożą w ciało i krew Chrystusa. Rzeczywiście za chwilę będzie wśród nas Chrystus. Temu Chrystusowi przedstawić mamy naszą troskę o dusze poległych żołnierzy i polecamy Mu sprawę polską z tą nadzieją, że wzystko, co z duchem Chrystusa złączone nie umiera, a żyje wiecznie.

Oto obraz Matki Boskiej Zwycięskiej Kozielskiej widnieje na tym ołtarzu, aby przypomnieć jakie na nas ciosy spadały, ale że mieliśmy zawsze nadzieję, że przez Królowę Korony Polskiej zwycięstwo nasze przyjdzie. I dziś przez Jej ręce składamy modlitwy o poległych.

Wieczne odpoczywanie racz Im dać Panie, a nas ucz miłości Ojczyzny...

Przez biało-czerwone chorągwie ołtarza patrzę na wysoki szary skalisty szczyt taki sam, jak te, na których padli ci, co leżą w szeregach mogił. Nad szczytem czyste, bezchmurne niebo, jak czysta sprawa, za którą padli.

Wśród kilku włoskich starców stojących opodal ołtarza widzę twarz jakże podobną do mego ojca, który został tam we Lwowie, który — wiem — pewno modli się teraz, bym wrócił...

Na głos dzwonka na podniesienie przyklęka wsystko. Na rękawie klęczącego Generała Andersa tarcza krzyżowa VIII Armji. Tak, mamy do niej prawo. Nie pierwsza to droga krzyżowa, po której w walce o Boga i Wolność pod znakiem Krzyża idzie polski żołnierz.

Płynie pieśń-modlitwa: "Pod Twą obronę, Ojcze na niebie!"

Kończy się msza za dusze poległych żołnierzy Dywizji Kresowej zmówmy pobożne Ojcze nasz i Zdrowaś Marja.

Ks. Biskup idzie od grobu do grobu. Kropi wodą święconą cmentarną



Cmentarz polskich bohaterów. Monte Cairo (Piedimonte)

ziemię. Pod wielkim krzyżem składają trzy wieńce:

"Poległym żołnierzom od Dowódcy Korpusu" — Generał Anders przyklęka i długą chwilę trwa w modlitwie.

"Poległym żołnierzom" — Biskup Polowy.

"Poległym moim kochanym żołnierzom — Dowódca Dywizji."

Dowódca Dywizji składa generałowi Andersowi nie pierwszy i nie ostatni żołnierski meldunek:

— Od wielu już lat składamy do ziemi ciała naszych kolegów, ale kiedy zaczęliśmy kładać je w Tocku, Tatiszczewie, Dżałał-Abadzie, Szachryziabs, w obcej ziemi, było nam niezwykle ciężko na sercu.

Kiedy przed rokiem przyszliśmy na nabożeństwo żałobne za ofiary pomordowane w Katyniu, czuliśmy rozpacz w sercu.

Z zupełnie innem sercem modlimy się diś do Boga o spokój tu poległych, choć zostawiamy tu naszych najlepszych kolegów i żołnierzy wszystkich stopni od pułkownika do szeregowca, od kapelana do lekarza. Tak jak harowało wszystko w pracy dla przygotowania ofensywy, tak wszystko szło i kładło się pokotem, gdy szło o zwycięstwo. Dziś, choć ból ściska, jesteśmy dumni, żeśmy nasz obowiązek żołnierski wykonali do końca.

I ślubujemy ci, Panie Generale, i w dalszym marszu bez reszty wykonać nasz obowiązek.

Śmierć wasza, polegli żołnierze Kresowej, jest przykładem, że słowa —miłość Ojczyzny — to nie puste słowa od święta, od wycierania gęby.

Wszystko, co robimy, robimy z myślą o Polsce i dlatego wznoszę okrzyk "Niech żyje Polska!"

Gromkie echo tysięcznego okrzyku żołnierskich piersi leci w przepaściste górskie jary, w których jeszcze przed tygodniem grzmiały salwy stojących w dolinie dział.

"Jeszcze Polska nie zginęła!" — Hymn dumy narodowej i tułaczki z ziemi włoskiej do Polski leci wąwozami tam, gdzie śpiewali go trzynaście dni temu leżący od trzydziestu godzin bez amunicji, o krok od bunkrów niemieckich, żołnierze Lwowskiego Baonu.

Do Generała S. podchodzi Dowódca Korpusu.

Nie mogą nic do siebie powiedzieć, tylko pocałunek żołnierski mówi wszystkim żołnierzom Kresowej, co o nich myśli Dowódca Korpusu.

Generał S. ma oczy zalane łzami. Generał Anders opanowuje wzruszenie i mówi do szeregów żołnierskich:

— Żołnierze Dywizji Kresowej!

Tak niedawno jeszcze byłem u was przed bitwą, gdyśmy prosili Boga o zwycięstwo. Krótki okres upłynął od tego czasu, ale ile wielkich czynów zostało w tym czasie dokonanych.

Jeszcze dziś są ludzie, którzy nie rozumieją czem była bitwa o Cassino, te tygodnie trudu przed nią i wreszcie mordercze ataki w ogniu artylerji, moździerzy, spandau'ów na fortecę, którą Niemcy uważali za nie do zdobycia.

Dzisiaj cały świat oddaje nam hołd, o przez nas Polsce. Wiemy, że gdzie jest polska wieś i miasteczko, gdzie bije polskie serce, tam wszyscy myślą o nas.

Nawet Niemcy nie odważyli się w Warszawie zerwać z murów plakatów o naszem zwycięstwie pod Cassino.

W tej chwili, gdy egzekucyjne plutony, czy to po jednej, czy po drugiej stronie zaboru rozstrzeliwują naszych braci, serca Polaków są z nami. Bo wierzą, że żołnierz polski przyjdzie do kraju z karabinem w garści, mocny i twardy. Przyjdzie i pomoże, żeby Polska powstała taka, jaką mamy w sercu.

Gdy płaczemy dziś rzewnie nad grobami naszych kolegów, wierzymy, że ta krew nie poszła na marne. Wierzymy, że ich dusze tam z wysokiego nieba meldują się u stóp Najwyższego, mówiąc: "Myśmy spełnili swój obowiązek, a tam zostawiliśmy tysiące bohaterskich kolegów, którzy za nas będą szli dalej w marszu do Polski".

Ciężko każdemu z nas, gdy przypomni się kolegę, z którym przeszło się dolę i niedolę, nie wstyd nawet dla mężczyzny, gdy w oczach jego zabłyśnie łza.

Ale gorzej było, gdy w Tatiszczewie nie wiedziałem ilu was dojdzie, gdy potem między pierwszą a drugą ewakuacją zmarło 3700 żołnierzy. Wtedy serce ogarniała rozpacz, bo ci ludzie ginęli dla Polski, ale Polska z tego nie miała korzyści.

Nasz marsz żołnierski nie jest łatwy. Idzie on drogą, jaką zaczęli nasi przodkowie od Grunwaldu do września 1939 r.

"Bitwa o Monte Cassino" to słowa, które wszystkie narody wymawiały dotąd z przerażeniem, bo kładły się w tej bitwie tysiące angielskich, amerykańskich, francuskich, nowozelandzkich, hinduskich żołnierzy — bez rezultatu.

Mówię wam szczerze i otwarcie: Monte Cassino mógł zdobyć tylko żołnierz polski, żołnierz naszego Korpusu który walcząc o tę fortecę miał przed oczyma Polskę.

Byłem w niejednej bitwie. Osiem razy krwawiłem, lecz takiej bitwy, w takich piekielnie trudnych warunkach, nie znam ani sam, ani nie znajduję ich wiele w historji.

Dzisiaj takich bitew po drodze już mieć nie będziemy. To było piekło, z którego tak bohatersko wyszli.

Dzisiejsza modlitwa to symbol czci dla poległych kolegów nie za sam klasztor, a za straszne "Widmo", za St. Angelo, za Passo Corno, za Piedimonte — pierwszy wyłom w linji Hitlera, za 593, za 559, za Mass Albanet, za sztandar polski na górze Cairo. Bitwa o Monte Cassino to nie same szturmy, to artylerja, to czołgi, to patrole, to sanitarjusz, to saper, to łącznik, to krwawy trud wszystkich żołnierzy Korpusu. Ale w tej bitwie przede wszystkim hołd oddaję piechocie. Bataljonom piechoty i wam spieszeni ułani, i wam sanitarjusze, i wam saperom, łącznościowcom, każdemu z was, kto walczył pieszo, kto zrobił więcej, niż obowiązek wymagał. Gdy składamy poległym dziś hołd, ślubujemy opiekować się ich grobami, które będą złożone na wieczną pamiątkę na Monte Cassino. ślubujemy opiekować się temi kolegami, którzy zostali ciężko ranni i rodzinami tych, którzy polegli.

Wiemy, że marsz nasz jeszcze długi i czekają nas na nim wielkie wojenne i polityczne niespodzianki, lecz przeciwnicy nasi są coraz słabsi. Wiemy, że teraz trzeba, by ten nasz główny wróg, który spowodował wrzesień 1939 r., naszą nędzę i niedolę, był rozbity.

Kiedy przed bitwą studjowałem ten piekielny teren, latałem nad polem walki, wiedziałem, że bitwa ta będzie ciężka i bardzo krwawa. Wierzyłem jednak, że właśnie my zwyciężymy, bo lata całe jesteśmy ze sobą i znamy się wzajemnie.

Jestem niezmiernie rad, że przez tę bitwę nasze stosunki z wojskami brytyjskimi, amerykańskimi i francukimi zacieśniły się jeszcze bardziej. Depesze, które ślą dla was na moje ręce są tego dowodem.

Jako dowódca Korpusu i wasz starszy kolega od tylu lat składam wam w imieniu służby narodowej moje serdeczne podziękowanie. (Oddziały same podrywają się na baczność).

Nasze szeregi powiększą się niedługo o nowych kolegów, a im bardziej na północ, tym będzie ich więcej. Gdy zbliżymy się do Polski, w Polsce Brygady urosną w dywizje i korpusy i wtedy wspomnimy pełne chwały dni bitwy pod Cassino, gdzie gleba była inna i skały inne, tylko maki czerwone były takie same jak w Polsce. Te maki czerwone, wykwitały z naszej krwi, która była przelana tylko dla Polski.

Z żołnierskich piersi znów płynie hymn wiary w zwycięstwo: "Jeszcze Polska nie zginęła".

— Żołnierze — mówi dalej generał Anreds — Dywizja Kresowa miała odcinek niezmiernie trudny. "Kre-

sowa" niestety poniosła największe straty. Szła cała do boju. Walczyły bez przerwy wszystkie bataljony piechoty wraz z pułkiem ułanów poznańskich. Walczyła obok was o St. Angelo nasza kompania Commandosów.

Brała udział w bitwie o Piedimonte, w linji Hitlera, zdobyła Passo Corno, zatknęła polską chorągiew na Monte Cairo.

Dziękuję was wszystkim w imieniu Polski.

Dziękuję dowódcy Dywizji, jego zastępcy, pułkownikowi R., wszystkim dowódcom i wszystkim żołnierzom. Życzę wam szczęścia żołnierskiego w marszu w imię Boże do Polski.

Wyprężone szeregi odprowadzają oczyma sławą okryty sztandar Kresowej.

Lecz żołnierze nie rozchodzą się.

Załamały się szeregi. Na cmentarz, na którym spoczęli najlepsi żołnierze Dywizji, ruszyli towarzysze broni, by przy mogiłach najbliższych koo-legów pomodlić się jeszcze choć chwilę.

Znowu padają na groby kwiaty, nie wiadomo jak przechowane w czasie postawy na baczność w szeregu. Klękają przy grobach, modlą się, modlą..

Czasem tylko ktoś zapyta: Gdzie leży Bukowski?

O tam.

A gdzie ten, który dwa razy uciekał ze szpitala na pole bitwy Sieziewski Longin?

Leży w tamtym rzędzie...

Mogiły pełnią straż przy drodze na Cassino, którą otwarli. Po drodze biegną właśnie kolumny ciężkiej artylerji. W biały dzień, bez dalekich odstępów. Nie cichaczem w nocy, jak jeszcze przed tygodniem, gdy brama na północ nie była otwarta.

Mogiły cmentarza Kresowej w Acquafondata pod kirem okrytym krzyżem przy drodze na północ, do Polski.

STANISŁAW STROŃSKI

W CZTERY PARY OCZU

(KORESPONDENCJA WŁASNA "TYGODNIKA POLSKIEGO" Z LONDYNU)

Sprawa właściwego stosunku między całym zespołem Narodów Zednoczonych a wysuwanemi z pośród nich na czoło. Trzema lub Czterema Mocarstwami zajmowała wcale wydatnie uwagę Izby Gmin w rozprawie o polityce międzynarodowej 24 i 25 maja.

P. Churchill, w wielkiej mowie na wstępie tej rozprawy, dotknął tego zagadnienia pod kątem spojrzenia raczej w przyszłości niż na teraźniejszość:

"Zamierzamy — mówił on — wprowadzić ład i ustrój światowy, uposażony we wszelką potrzebną moc, celem zapobieżenia wybuchowi wojen w przyszłości lub długotrwałemu knowaniu ich przez niespokojne i pożądliwe państwa. Musi na to istnieć Rada Światowa (World Council), rada rządząca (a controlling council , obejmująca największe Państwa (the greatest States) które wyjdą zwycięsko z tej wojny, zobowiązane do utzymywania pewnego minimum zbojeń celem obrony pokoju. Musi również istnieć Zgromadzenie Światowe (World Asembly) wszystkich Państw, którego stosunku do owego wykonawczego ciała, czyli rządzącej władzy (controlling power), celem utrzymania pokoju, nie mogę bliżej określić. Nie jest to rzeczą tylko jednego z Państw".

Zapowiedzi te wywołały w Izbie Gmin uwagi, w licznych przemówieniach, na rzecz unikania wyłączności kilku Państw w rozstrzyganiu, a natomiast należytego uwzględnienia uprawnień wszystkich Państw.

P. Arthur Greenwood, przewódca Labour Party w Izbie, który otwierał drugi dzień rozprawy, mówił:

"Nie wierzę, by świat mógł być rządzony przez trzy czy cztery wielkie Państwa. Sądzę, że jest to niepożądane, a nawet że byłoby to nieszczęsne (tragic), gdybyśmy to próbowali zrobić. Dla tych narodów lądu Europy, które nam ufają i oczekują od nas przewództwa duchowego, a w nadchodzących miesiącach próby będą szczególnie wrażliwe, byłoby niemałą podnietą, gdyby wiedziały bez żadnej wątpliwości, że otwiera się przed niemi przyszłość we wspólnocie narodów."

Zastrzeżenia i oświadczenia w tym duchu powtarzały się w kilku przemówieniach i widocznie wyrażały pogląd dość niesporny.

Więc p. Eden, zamykając rozprawę, nie zaniechał wyjaśnień uspokajających w tym względzie, gdy poruszył sprawę niezbędnej stałej współpracy czterech a w szczególności trzech mocarstw, W. Brytanji, Stanów Zjednoczonych Ameryki i Rosji, dodając odrazu:

"To stwierdziwszy, wcale nie chcę jednak powiedzieć, żeby te trzy Mocarstwa miały dążyć do nałożenia światu jakiejś dyktatury trzech. To byłoby źle, bardzo źle. W tem dążeniu do współpracy niema żadnej wyłączności."

Do takiego pojmowania rzeczy dostosowywa też p. Eden swe końcowe zwięzłe ujęcie wytycznych przyszłego ustroju światowego w takiem brzmieniu:

1. Musi powstać ustrój światowy, przedewszystkiem celem zapobieżenia nawrotów ze strony Niemiec i Japonji, w pełni uposażony w siły zbrojne dla spełnienia tego zadania;

2. dla zapewnienia tego przedsięwzięcia musi istnieć ścisłe współdziałanie polityczne i wojskowe między St. Zj. Ameryki, Związkiem Sowieckim, Imperjum Brytyjskiem i Chinami i innemi Mocarstwami;

3. odpowiedzialność za wszelki przyszły ustrój świata musi być oparta o siłę, a wskutek tego musi on być zbudowany w oparciu i wokół wpomnianych czterech wielkich Mocarstw, a wszystkie inne miłujące pokój Państwa muszą być w to wciągnięte i mieć swój udział w budowie;

4. ustrój światowy powinien być giętki, nie sztywny, czyli urastać w miarę doświadczenia, a nie zabierać się odrazu do pracy według ustalonego i usztywnionego zbioru przepisów.

5. wszystkie Państwa wielkie i małe wchodzące w ustrój światowy, powinny przykładać się do współpracy gospodarczej i politycznej."

Podobnie jak w Wielkiej Brytanji, tak i w St. Zj. Ameryki, hasło czterech czy trzech mocarstw kierowniczych, a usuwania w cień całości zespołu Narodów Zjednoczonych, wywołuje stale zastrzeżenie, więc w pierwzych doniesieniach z 22 maja 1944 o pracach p. Cordell Hull'a z Komisją ośmiu senatorów nad przyszłym ustrojem międzynarodowym zapowiadano uwzględnienie wszystkich państw.

Krótko mówiąc stan rzeczy jest obecnie taki:

Zespół około 30tu Narodów Zjednoczonych, istniejący wyraźnie od podpisania oświadczenia wspólnego z 1 stycznia 1942 w Waszyngtonie, został uderzająco i jaskrawo zaniedbany. Natomiast od narad z końca 1943, w Moskwie, Kairze, w Teheranie, wysunięta została i właściwie już odrazu wprowadzona w życie zasada t. zw. przewództwa trzech czy czterech Mocarstw. Obecnie przeważa poczucie, że w tem zacieśnieniu do trzech czy czterech, a szczególnie w wysuwaniu samego pojęcia przewództwa,

poszło się za daleko i zaczyna się odwrót.

Jest to objaw niewątpliwie zdrowy. Przyznanie państwom większym, że są większe, a wskutek tego przyznanie im też należnego wpływu, jest słuszne i niesporne. Ale na to wystarcza rzeczywista ich waga na podstawach równości prawnej wszystkich państw. Natomiast zasada przewództwa z dowolnością doboru, stawiającego we wpływie na ustrój świata np. Francję w drugim rzędzie za Chinami i za Rosją, jest sama w sobie zła i zatruta pojęciami, które właśnie zaburzyły świat hasając po nim na... innej Osi.

Zasady równości prawnej Państw i ich rzeczywistego udziału w postanowieniach w zakresie współżycia narodów nie należy topić nawet w wysoko idącej fali podziwu dla wysiłku wojennego największych Mocarstw i małodusznie ją zaprzepaszczać.

Nigdzie bodaj lepiej nie widzą niż w Londynie i w Waszyngtonie, że główny nacisk na przewodnie stanowisko właśnie trzech czy cztrech państw jest bardziej związany z potrzebami prowadzenia wojny niż z rzeczywistemi wskazaniami właściwego ustroju życia międzynarodowego i zapewnienia pokoju, który nie da się wtłoczyć w pokoik, gdzie cztelech radzi przy stole, oraz przedpokoik dla innych.

Także w tem kółku wybranych (przez siebie samych) dobrze wiedzą, że wcale nie najdogodniej będzie omawiać zawsze tylko w tem gronie w czterech ścianach i w cztery pary oczu.

OPINJE I ZDARZENIA

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW

Jak nieraz zwierzaliśmy się naszym czytelnikom, "Tygodnik Polski" mimo ciągłego rozwoju, doskonale wróżącego na przyszłość borykać się musi z trudnościami nieodłącznemi od bytu pisma zdanego w początkowym okresie istnienia na własne tylko siły. Jednym ze środków zaradzenia tym trudnościom, szczególnie w czasie letnim dotkliwym — jest regularna wpłata prenumerat. Nasi czytelnicy dali nam tyle dowodów życzliwego zainteresowania się losem naszego pisma, że z całą śmiałością prosimy ich o jaknajwcześniejsze wpłacenie prenumeraty.

W czasie niejednej rozmowy wakacyjnej nastręczy się też napewno naszym czytelnikom okazja zjednania nam nowych prenumeratorów. Nie zaniechajcie tej sposobności, gdyż tylko należyty rozwój cyrkulacji "Tygodnika Polskiego" może stworzyć dla niego niewzruszoną podstawę bytu. Liczymy na naszych czytelników że i w tej sprawie nie odmówią nam swej pomocy, za którą zgóry jak najserdeczniej dziękujemy.

NASZE KORESPONDENCJE

"Tygodnik Polski", pragnąc dawać swym czytelnikom możliwie najpełniejszy obraz działań naszych bohaterskich sił zbrojnych, zapewnił sobie ostatnio współpracę szeregu wybitnych pisarzy, którzy nadsyłać będą nam stałe specjalne korespondencje z terenów, gdzie walczą nasi żołnierze. W numerze dzisiejszym rozpoczynamy druk stałych listów o działaniach marynarki polskiej, doskonałego pióra Janusza Laskowskiego, który nadsyłać nam je będzie ze statków naszych biorących udział w akcji wojennej; od następnego numeru poeta Wawrzyniec Czereśniewski pisać do nas będzie o życiu wojska polskiego w Szkocji.

PADLI NA POLU CHWAŁY



Ksiądz Król
Kapelan Brygady
Podhalańskiej



Por. Jan Scazighino,
b. attache
Konsulatu R. P. w New Yorku

Tadeusz Zajączkowski, którego wstrząsające opowiadanie o bitwie pod Monte Cassino wywarło najgłębsze wrażenie wśród naszych czytelników — jest naszym stałym korespondentem przy Drugim Korpusie; jak dotąd pomieszczać będziemy pozatem wrażenia i sprawozdania z tego frontu pióra innych pisarzy.

Nasze korespondencje wojenne— od pierwszej chwili stały się najniecierpliwiej oczekiwanemi stronicami "Tygodnika Polskiego". Niezliczone listy, nadchodzące do redakcji świadczą o tem — a co za tem idzie o nieustannej myśli wszystkich Polaków o naszej armji.

KSIĄDZ KRÓL ZGINĄŁ NA FRONCIE

Ksiądz Król, ukochany kapelan Brygady Podhalańskiej zginął śmiercią bohaterską na froncie włoskim, 7go kwietnia, 1944. Był to prawdziwy kapłan żołnierz, który od Narwiku przeszedł z Brygadą wszelkie jej wojenne przygody, nietylko niosąc żołnierzom pociechę religijną ale też wszelką inną materjalną i moralną pomoc. Kapłan wiary głębokiej i prostej, oddany całą duszą Polsce i wojsku polskiemu, pozostawia po sobie żal głęboki i wieczne imię w legendzie bohaterskiej Brygady.

ADOLF BOCHEŃSKI RANNY

Jak się dowiadujemy, wśród rannych na froncie włoskim znajduje się młody, doskonały pisarz, z grupy dawnego "Słowa" wileńskiego, Adolf Bocheński.

ZGON HODŻY

Umarł w Stanach — Milan Hodża, były premjer czechosłowacki, który miał to nieszczęście że stał na czele rządu w chwili zajęcia Sudetów. —

Hodża, słowak z pochodzenia, był jednym z czołowych polityków swego kraju; rozstawszy się z panem Beneszem — prowadził na emigracji akcję polityczną, której jednym z dogmatów było trwałe porozumienie z Polską. Hodża jak wielu wybitnych Czechów i Słowaków — jak Jan Masaryk np. mówił doskonale po polsku.

BOHATER GHETTA — KAWALER "VIRTUTI MILITARI"

W "Polsce Walczącej" czytamy wzruszające wspomnienia pośmiertne o bohaterze ghetta warszawskiego, Michale Klepfiszu. Z tego wspomnienia cytujemy ważniejsze fragmenty:

"Wódz Naczelny nadał 18 lutego 1944 roku pośmiertnie srebrny Krzyż Virtuti Militari inż. Michałowi Klepfiszowi z Warszawy".

Ojciec i matka jego byli nauczycielami szkół powszechnych w Warszawie. Matka, Marja, była kierowniczką jednej z państwowych szkół powszechnych w Warszawie i przez długie lata do wybuchu wojny przewodniczącą Zarządu Głównego Zw. Żyd. Nauczycieli. Rodzice całe swoje życie oddali cichej, ale często, w czasach carskiego reżymu, jakże niebezpiecznej służbie w ruchu socjalistycznym. W tej skromnej, ale i ofiarnej atmosferze wyrósł ich młody Michał. Uczył się świetnie i warszawską Politechnikę ukończył z odznaczeniem tuż przed wojną.

...Mówiło o nim radio polskie. — Tym razem podziemne — "Świt". W pierwszych dniach maja 1943 roku opowiadało o tym, jak w nocy z 18 na 19 kwietnia rozgorzała zbrojna walka na terenie ghetta warszawskiego, jak ludzie od lat głodzeni słabo, potajemnie uzbrojeni, rzucili się na stokroć lepiej uzbrojonego wroga, by drogo sprzedać swoje życie, by nie pójść dobrowolnie do obozów "pracy", będących faktycznie masowymi mordowniami tysięcy.

Dziś wiemy już dokładnie, że ta walka na śmierć i życie, bez rannych i bez jeńców, była planowana od wielu miesięcy przez robotników żydowskich, zatrudnionych na terenie ghetta w niemieckim przemyśle zbrojeniowym. Dziś wiemy, jak bardzo kaci hitlerowscy bali się oporu swoich ofiar i uciekali się do najpodlejszych kłamstw, by oszukać naiwnych, przyrzekając im w specjalnych odezwach, rozlepianych na murach domów, a podpisanych przez niemieckiego "Komisarza dla Spraw Przesiedlenia Mieszkańców Dzielnicy Żydowskiej" Waltera Troebbensa, że zostaną oni urządzeni lepiej, niż dotychczas, i — co najważniejsze — by nie uwierzyli agitacji Żydowskiej Organizacji Bojowej.

I opowiadając dalej o niezwykłym bohaterstwie bojowników ghetta, osamotnionych w swojej walce, mających tylko za sobą moralne oparcie w podziemnym ruchu polskim z poza ghetta, rozumiejących doskonale, jaki może być fizyczny koniec i rezultat tej "drugiej bitwy o Warszawę", "Świt" wymienił jedno nazwisko — Michała Klepfisza. I to samo powtórzyło się w telegraficznym doniesieniu z Warszawy, przesłanym przez Delegata Rządu: "zginął bohaterską śmiercią inżynier Klepfisz, członek "Bundu", jeden z filarów zbrojnego oporu". W sprawozdaniu, które przed kilku tygodniami dotarło do Londynu z Warszawy podane zostały bliższe szczegóły zasług Michała Klepfisza w przygotowaniu powstania warszawskiego ghetta. Był on tym, który zorganizował, potajemną oczywiście, wytwórnię materjałów wybuchowych w dzielnicy żydowskiej. I dalej jest powiedziane w tym sprawozdaniu: "Bez pomocy Michała powstanie było by niemożliwe".



b. p. Michał Klepfisz, bohater ghetta warszawskiego

Michał Klepfisz zginął w walce już w pierwszych dniach powstania. Ale walka trwała znacznie dłużej. Po stronie niemieckiej walczyło co najmniej 6,000 żołnierzy SS i Gestapo. Niemcy walczyli tchórzliwie, nieraz uciekając i przez pierwsze dwa tygodnie nie śmieli w nocy wogóle wejść na teren ghetta. Przeciwko ludziom uzbrojonym najwyżej w karabiny maszynowe i granaty ręczne użyli czołgów, artylerji i nawet samolotów. Palili całe ulice, zanim odważyli się w nie wtargnąć.

Jeszcze w połowie czerwca, a więc w 7 tygodni po rozpoczęciu walk, bojowcy prowadzili wciąż walkę podjazdową na terenie ghetta. O klęsce moralnej Niemców świadczy chociażby fakt, że w maju 1943 r. został usunięty ze stanowiska szefa Gestapo okr. warszawskiego von Sammer, któremu kierownicze czynniki hitlerowskie zarzucały, że był winien temu, że około 1000 Niemców zgin-ło podczas walk w khetcie.

W tych strasznych dniach na ulicach polskiej części Warszawy kolportowana była odezwa Centralnego Kierownictwa Ruchu Polskich Mas Pracujących, w której, m. in. było powiedziane: "Robotnikom i pracownikom narodowości żydowskiej... przesyłamy braterskie pozdrowienie i zapewnienie, że czyn ich nie przejdzie bez echa. Wejdzie on w legendę Polski walczącej, stanie się wspólnym dorobkiem ludu Polski, dorobkiem, na którym wzniesiony zostanie gmach odrodzonej Rzeczypospolitej".

...I razem ze sztandarami zwycięskich wojsk przez Aleję Ujazdowską i przez spaloną ulicę Smoczą przejdzie sztandar, który wisiał na samotnej barykadzie ghetta. I na Wielkiej Rewji, gdy na baczność staniemy przed duchami żołnierzy wielkiej armii wolności, którzy walczyli o Polskę, zobaczymy wśród nich bojowników warszawskiego ghetta i chorążego tych bojowników — Michała Klepfisza.

DLA JEŃCA

W dniu 23 kwietnia b. r. odbył się w Edynburgu Walny Zjazd Związku Byłych Jeńców z obozów niemieckich, organizacji powołanej do życia w bieżącym roku. Na pierwszym Zjeździe jeńców, odbytym w lutym w Londynie, poruszona została m. in. sprawa opieki nad wracającymi z niewoli żołnierzami. Należy pamiętać, że polscy jeńcy najdłużej przebywają w niewoli bo się pierwsi bili. Dla wielu z nich dobiega piąty rok w obozach. Zjazd uroczyście uczcił pamięć ofiar Katynia. Wyraził pod adresem najwyższych władz postulat wprowadzenie do Zarządu Czerwonego Krzyża przedstwicieli jeńców. Nie mamy dotąd wiadomości, czy uczyniono zadość tym słusznym żądaniom. Jeńcy uchwalili jednogłośnie wysłanie depesz dziękczynnych do Polonji amerykańskiej, kanadyjskiej, brazylijskiej, argentyńskiej i chilijskiej.

W rezultacie apelu jednego z byłych jeńców, ogłoszonego w "Polsce Walczącej" p. t. "Protestuję" jesienią ub. roku, żołnierze Armji Polskiej w W. Brytanji zebrali dotąd z drobnych dobrowolnych składek — Ł2.882.0.5, (przeszło $11,000) składając je na ogłoszony przez Redakcję "Polski Walczącej" fundusz "Paczek od serca".

KOMITET KOORDYNACYJNY

W dniu 22 bm. odbyło się w New Yorku zebranie Zarządu Głównego Komitetu Koordynacyjnego Amerykańsko Polskich Zrzeszeń na Wschodzie. W zebraniu wziął również udział Prezes Rady Głównej Komitetu T. Starzyński.

W zastępstwie chorego Prezesa M. F. Węgrzynka przewodniczył wiceprezes mecenas S. Gutowski.

Po wysłuchaniu sprawozdań wywiązała się dłuższa dyskusja na temat programu przyszłych prac. Powzięto szereg ważnych uchwał, między innemi uchwałę w sprawie szybkiego porozumienia się z nowo wybranemi władzami Kongresu Polonji Amerykańskiej, celem uzgodnienia prac organizacyjnych.

WSZYSTKO JEST WZGLĘDNE

Jeden z urzędników mówi:

"Premjer Mikołajczyk miał świetną prasę w Ameryce".

Na co człowiek "cywilny".

"Ale Kisterowie mieli znacznie lepszą."

SKRUPULATNY

Do wrót św. Piotra puka żołnierz angielski: — A ty skąd?

— Spod Cassina, św. Piotrze, — odpowiada Anglik. — Chciałbym odpocząć w niebie....

Po chwili przychodzi Amerykanin.

— A ty gdzie poległeś?

— Pod Cassinem! Prosiłbym o mały pokoik w niebie!

— O północy wali do okien św. Piotra — Polak.

— Skądże znowu o tej porze?

— Spod Cassina, melduję posłusznie....

— I pewnie chciałbyś iść do nieba?

— Nie, do piekła!

— Do piekła? A to dlaczego?

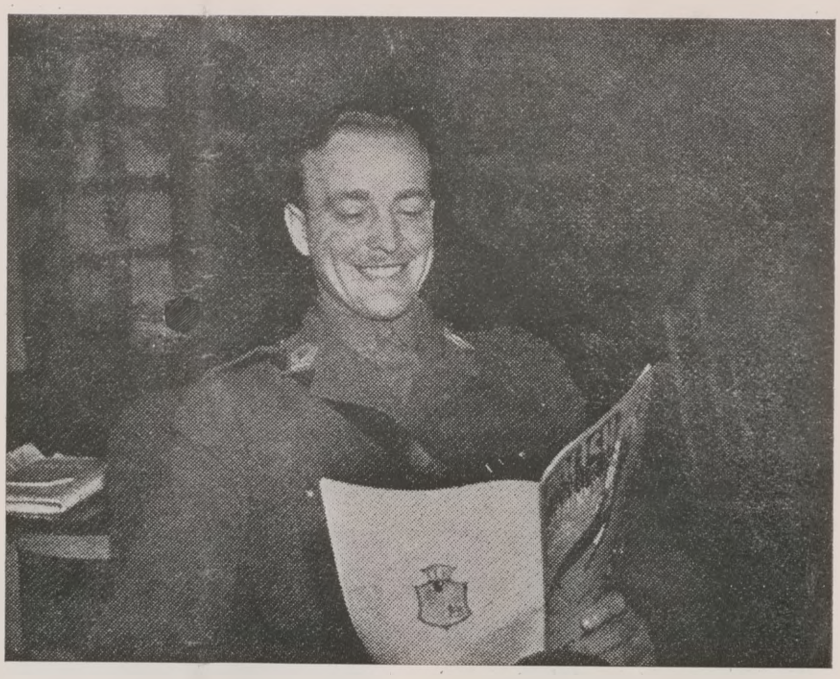
— Muszę zliczyć moich Niemców!

CO O NAS WIEDZĄ

Ciągle się łudzimy, że świat wie już o Polsce przynajmniej zasadnicze rzeczy jak np. jaki jest obszar Polski, jakie najważniejsze miasta, jaka ilość ludności. Otóż jeden z naszych czytelników musiał się boleśnie przekonać, że tak nie jest i musiał zadumać się nad dwuznacznością komplimentów.

Na Piątej Avenue, przemianowanej jak wiadomo na pewien czas na Aleję Narodów Zjednoczonych ma Polska wydzielony sobie bardzo "szykowny blok", gdzie mieści się m. in. sławny jubilerski sklep Cartier i pałac Vanderbiltów. Otóż Cartier wystawił w pięknych srebrnych ramach podobizny Paderewskiego i pana prezydenta Raczkiewicza. Jakaś elegancka para zatrzymała się przed tą wystawą i pani z admiracją wpatruje się w rasową twarz naszego, jakże reprezentacyjnego, szefa państwa. Po chwili mówi:

"He is too good looking for such a small nation".



Porucznik Tice, Amerykanin w Wojsku Polskiem

HISTORJA WARJATÓW

W szpitalu warjatów — jeden z pacjentów pogrążony jest w lekturze książki telefonicznej.

Drugi zbliża się i pyta:

"Czy to interesująca książka?"

"Akcji niema żadnej ale zato mnóstwo osób".